

W niewielkiej garderobie Teatru „Wybrzeże” KRYSTYNA JANDA przygotowuje się do spektaklu „Dwoje na huśtawce”. Na chwilę przerywam moment spokoju przed wyjściem na scenę.

— Pani powroty do Gdańska to nie tylko artystyczne wojaże, ale również powroty sentymentalne.

— To zrozumiałe. „Człowieka z marmuru” kręciłam tutaj, zdjęcia w Stoczni Gdańskiej zapadły mi w pamięć, a poza tym — wszystko tutaj się zaczęło.

— Czy po latach sukcesów pamięta pani początki kariery?

— Oczywiście, właściwie to się jakby stało w ciągu pierwszego pół roku mojej pracy. Na scenie „Śluby paniieńskie”, potem w Teatrze Małym „Do

— Czy jest pani osobą pracowitą, systematyczną?

— Jestem pracowita, ale nie systematyczna. Zawsze — jak do tej pory — podczas pracy nad jakąś rolą, przychodzi taki dzień, w którym wiem, w jakim pójść kierunku. Dopóki ten moment nie nadejdzie, zachowuję się jak osoba chora, jak ktoś, komu zdarzyło się straszne nieszczęście. Nie potrafię nawet określić jak to długo trwa — czasami krócej, czasami dłużej. Ale kiedy już wiem jak, to niewiele osób może mnie przekonać, że to co robię jest złe

samym stylu. Jest to również mój odpoczynek.

— Spodziewa się pani dziecka. Czy to znaczy, że Krystyna Janda wycofa się z aktywności scenicznej na dłuższą?

— Nie, skądże. Mam już dwoje dzieci. Urodziłam synka półtora roku temu, ale wcale nie zwolniło to tempa mego życia zawodowego. Kręciłam np. film w reżyserii Krzysztofa Zanussiiego będąc w 6 miesiącu ciąży. Zresztą mam to szczęście, może i luksus, że mieszkam z rodzicami, pracuję więc stale tym samym rytmem. Często pytają mnie, jak daję sobie radę z taką ilością pracy i tempem życia. Wydaje mi się, że moi koledzy pracują tak samo dużo jak ja.

Jestem teraz po prostu aktorką

rian Gray”, zdjęcia do „Człowieka z marmuru” i w Opolu, na festiwalu, piosenka „Guma do żucia”. To stworzyło moją początkową popularność.

— Uznano, że wypracowała pani nowy styl aktorstwa, stała się pani indywidualnością.

— Ciągłe tak o sobie czytam, także w zachodniej prasie podpisuję pod moimi zdjęciami mówią o indywidualności. Nie wiem, myślę, że jestem po prostu osobą wierną sobie, zarówno w sensie zawodowym, jak i życiowym.

— Pani życiowe ideały to...

— Bardzo trudno mi odpowiedzieć na to przy pomocy dwóch, trzech słów. Moje ideały nie różnią się od przeciętnego i akceptowanego kanonu wartości moralnych, etycznych. W każdym razie myślę, że żyję tak, że nie mam do siebie pretensji ani nie odczuwam wstydu. Sądzę, że mieszczę się w uznawanych normach.

— Sukces i porażka. Czy za wsze się pani wszystko udawało?

— Na tle tego, co się dookoła dzieje, wydaje mi się, że udało mi się bardzo wiele, ale wcale to nie znaczy, że jestem z siebie zadowolona. Myślę też, że mam dość wysoką pozycję zawodową nie tylko w Polsce, ale i na świecie, wśród profesjonalistów, ludzi zajmujących się filmem. Po prostu dyrektorzy festiwali filmowych znają mnie, moje dokonania artystyczne, ale to nie znaczy wcale, że mam również ugruntowaną pozycję wśród miłośników kina na świecie. To już inny szczebel. Po prostu już jakby mniej o mnie się wie. Prawda jest taka, że raz w życiu byłam z siebie zadowolona — po filmie „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego — a cała reszta to role niedoskonałe, nie do końca zrealizowane.

— „Przesłuchanie” zaciążyło nad panią.

— Naprawdę zaciążył „Człowiek z marmuru”, który stworzył mi w świecie kina, a „Przesłuchanie” przyniosło mi uznanie. Pod względem zawodowym rolą w „Człowieku z marmuru” jest nie najlepiej zagrana, ale są to szczegóły czysto techniczne, które pewnie mniej interesują widza.

— Aktorstwo — polityka.

— Wycofalam się z tego, bowiem uważam, że spełniłam swoją rolę. Zrobiłam w obrębie swego zawodu wszystko co mogłam, żeby pomóc „sprawie”, a szczerze mówiąc jestem szczęśliwa, że ten okres postumentu, z którego już zeszedłam, skończył się. Jestem teraz po prostu aktorką.



i to, niestety, dość często bywa moją klęską.

— W życiu prywatnym jest pani również przebojowa jak na scenie?

— Nie wiem, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, bo szczerze mówiąc nie bardzo miałam okazję to sprawdzić. Sześćdziesiąt procent mego czasu pochłania mi praca, czterdzieści — „samotność” z dziećmi, rodzina, a większość kłopotliwych rzeczy załatwia za mnie mąż. Nie dopuszczam do swego domu i życia obcych, choć żyję w dużej rodzinie.

— Czas dla siebie, odpoczynek, przyjemności...

— Nie wiem co to dosłownie znaczy przyjemności. Gdy bym wiedziała, to bym znalazła na to czas, albo osiągnęła ten stan. Wszystkie moje projekty związane są z domem, rodziną i to są moje przyjemności. To po prostu kolejne etapy wygodniejszego, lepszego życia, ale zawsze w tym

tylko że mam częściej szczęście być zauważana, a ich trud często przepada w chaosie.

— Jest pani nadal wierna Andrejowi Wajdzie, wszak pokazywane w Gdańsku przedstawienie jest także w jego reżyserii.

— To chyba widać ze sceny. Teraz, kiedy Andrzej Wajda po raz drugi wyreżyserował „Dwoje na huśtawce”, można jakby inaczej spojrzeć na ten tekst — zadumać się i uśmiechnąć. Gorących zwolenników tego przedstawienia mamy wśród młodzieży i to jest dla nas zaskoczeniem.

— Czy prawdą jest, że to ostatnie pani spektakle?

— Przerywam pracę w „Dwoje na huśtawce”, ale będę jeszcze grała monodram „Shyriley Vallantaine”, którego premiera odbyła się kilka dni temu w Warszawie, w Teatrze Powszechnym, a zamierzam na scenę powrócić znów w czerwcu przyszłego roku.

— Dziękuję za rozmowę.

ALINA KIETRYS